Nro 11.

DZIENNIK MÓD PARYSKICH.

Lwów, 21 maja 1846. Rok siódmy.

Wychodzi co drugi czwartek regularnie; do każdego numeru dołączona jest rycina mód paryskich z dokładnym opisem. Kosztuje w miejscu półrocznie 5 złr. 15 kr.; całorocznie 10 złr. m. k.; na prowincii dolicza się przesyłka pocztowa do cen powyższych półrocznie 48 kr. m. k. Prenumerować można we wszystkich urzędach pocztowych, tudzież w redakcii pod nrem 301.; we Lwowie.

M O D Y.

Paryż, dnia 7 maja 1846.

Stroje damskie. *Longchamps* było w tym roku bardzo piękne a osobliwie dzień piątkowy olśniony całym przepychem słońca wiosennego. Powietrze ciepłe i łagodne przyczyniało się nie mało do tej wielkiej uroczystości mody, a młode twarze uśmiechające się do pogodnego nieba wydawały się piękniejszemi jeszcze. Jakoż, śmiało powiedzieć możemy iż tegoroczne *Longchamps* w całej odbyło się okazałości, a najświeższe i najwykwintniejsze stroje ubiegały się między sobą o pierwszeństwo. Opisać je wszystkie byłoby niepodobieństwem, niektóre z nich tylko a mianowicie te które zdały nam się uwagi najgodniejsze wymienimy; zaczynając od kilku całkowitych strojów.

Redyngocik z włoskiej kitajki, liliowego koloru, roztwarty na bogato haftowanej spodnicy, z wyłogami korunką obszywanemi; kapotka z różowego tiulu, ubrana gałązką róż majowych; liliowe rękawiczki; parasolik w różowe i białe pasy.

Redyngocik z chińskiej materii błękitnego koloru ubrany fontaziami i stalowemi sprzączkami; kapotka z białej marseliny i z ryżowej słomki, z gałązką kwiatu i liścia pomarańczowego, rękawiczki słomianego koloru; parasolik błękitny, z białą i błękitną frędzlą.

Redyngocik z materii w cienie żółte i różowe, z otwartą spodnicą, z szerokiemi wyłogami taśmami obszywanemi, ze stanikiem podobnym do męskiej kamizelki zapinanym na trzy jedwabne guziki i mającym wyłogi w kształcie pelerynki; rękawy półdługie; kapotka z różowej krepy, trzema ukosami tiulowemi i korunką ubrana.

Suknia z materii *Pompadour* w bogate desenie; rańtuch zielony złotem przerabiany, frędzlą złotą obszyty; kapelusz ryżowy mocno w górę zadarty, z gałązką lilij; rękawiczki słomianego koloru; ciżemki czarne morowe; parasolik biały w różowe i zielone bukiety.

Suknia z *taffetas de laine* piaskowego koloru, z czterma wycinanemi falbanami; rańtuch z *gros de l'Inde* błękitnego koloru; kapotka biała tiulowa polnemi kwiatami ubrana; parasolik z chińskiej materii.

Suknia z czarnego atłasu, z gładką spodnicą, ze stanikiem wysoko zachodzącym, i z wyłogami zaczynającemi się u ramion a kończącemi się u pasa; rękawy gładkie; czepeczek gładki korunkowy bez żadnego obszycia; z błękitną wstążką.

Suknia z różowej materii, z gładką spodnicą, ze stanikiem gorsowanym, z bertą tiulową; we włosach kwiaty.

Suknia z materii popielatej, szeroką falbaną obszyta; stanik gładki mocno wycięty; rękawy krótkie; karaczko z czarnej korunki dochodzące niżej pasa; kapelusz ryżowy ubrany półgirlandą z liści mającą po obu końcach trzy duże róże; spód kapelusza zielonemi wstążkami i kwiatami ubrany.

W ogólności spostrzegać można było, iż kwiaty walczyły o pierwszeństwo z piórami, i że damy trzymające się ściśle mody dzieliły równo między siebie te dwie dodające wdzięku ozdoby. Z kwiatów najwięcej widzieć można było bukiety lub równianki z kwiatu i liści pomarańczowych; kwiaty polne jakoto: maczki, bławaty, róże polne i inne często spostrzegać się dawały.

Kształt kapeluszów jest okrągły, zgrabny, niezbyt na policzki zachodzący, nie ma prawie żadnego podobieństwa do kapeluszów *Pamela* z roku zeszłego. Kapelusze ryżowe i słomkowe zachowały jednak kanie dość podniesioną, ale to jest krój zwykły słomianych kapeluszów; co się zaś tyczy słómek przez-

roczystych, te ukazują się pod tysiącznemi kształtami i deseniami; desenie blondynowe, korunkowe i inne doskonale są w nich naśladowane.

Wstążki nabierają coraz większej wartości, tak że często zastępują kwiaty przy kapeluszach; najczęściej są one gazowe, atlasowe, albo też w cienie lub kraty różnego koloru.

Krój nowy kanzu jest mocno kończasty, z przodu troche wycięty i spadający z ramion aż do bioder; na piersiach fontaziami ze wstążki zapinają się.

Stroje męskie. Między strojami widzianemi na tegorocznem *Longchamps* wyszczególniały się fraki rozmaitego koloru, postrzegano nawet frak z materii w kratki; co do kroju jest w nich zupełna od przeszłorocznych różnica: stany są nadzwyczaj długie a wąskie tak, że możnaby te fraki nazywać z podwójnemi stanami.

Fraki francuskie mają dwa rzędy guzików, nie są obcisłe lecz owszem wolne; przodki i poły są równe ale są także fraki o jednym rzędzie guzików, z połami zaokrąglonemi ale zawsze z nadzwyczajnie długiemi stanami.

Także surduty, paletoty i twiny muszą mieć koniecznie stan długi.

Kamizelki są proste, wykładane na dwie strony lub wycięte; wszystkie trzy uchodzą za modne bez wyjątku. Krój prosty kamizelek jest taki iż mogą być zapinane aż pod szyję ale ich się zwykle nie zapina lecz nosi tak jakgdyby były wycięte. Materie najmodniejsze są kaszmiry w desenie, fulary w kraty i axamity.

Spodnie noszą z materii rozmaitej; jakoto: gładkiej, w bireciki jaspisowego koloru, w kraty tak szerokie, że cztery kraty zajmują całą długość spodni; prócz tych noszą jeszcze z materii w drobne paski i te są bardzo lubione.

R y c i n a p r z e d s t a w i a: suknię fularową w pasy, mantylę białą, różową kitajką podszytą, korunkami garnirowaną. Druga amazonka, u której spodnica z *drap-de-dame*, stanik axamitny z połami; frak do przechadzki z okrągłemi połami i wąskim stanem.

Laura i doktor Howe.

Podajemy tu naszym modnym czytelniczkom szkic romansu w najświeższej modzie. To jest w modzie tego naszego brzydkiego dziewietnastego wieku, kiedyto kawalerowie nie lubią tańczyć na balach, affektują emancypacię od wszelkich szlachetnych manierów salonowych, wzbraniają się oddawać należną od wieków attencię damom, a zatem, jak się zdaje, i ich potrzebom sercowym; kiedy zaniedbane tak damy nie bawią się już jak dawniej sercami swoich daremnie usychających ofiar, lecz zakładają ochrony dla małych dziatek, zbierają fanty na loterię dobroczynności, urządzają szpitale i kwestują; kiedy wreszcie wzdychanie i samobójstwa z miłości należą do jedynych cudów, jakieby się jeszcze wydarzyć mogły; a cały świat zanurzył się po szyję w dobroczynność, jak stary marnotrawca, co strwoniwszy życie w rozpuście, przy nadchodzącej śmierci, z bojaźni djabla i piekła, całą resztę majątku coprędzej na szpitale i klasztory zapisuje. Ztądteż nie zawiera nasz najnowszomodny romans ani śladu miłości, ani krzty owych starożytnych *rococo* czułostek kochanka Nowej Helloizy, albo Wertera, albo Gustawa w Dziadach, a przecież jest w nim więcej głębokiego uczucia niż we wszystkich affektach salonowych, i więcej szczęścia niż we wszystkich ślubach miłośnych skutych w kuźni kowala z Gretna Green. Bohatyrka tego romansu bez miłości, lubo jej Laura na imię, nie należy do rzędu owych Laur idealnych opiewanych od Petrarchi aż do Szyllera i Mickiewicza, lecz jestto owszem dziewczyna, wprawdzie młoda i piękna, ale niema, ciemna, głucha, nawet bez zmysłów powonienia i smaku, a bohatyrem jej, poważny doktor medycyny Howe, nadzorca zakładu ochronnego dla ciemnych w Bostonie. Widzą już tedy państwo, że cała scena naszego szkicu leży na wcale nie romantycznej ziemi, bo to w owej osławionej, prozaicznej Ameryce, gdzie nie znajdziesz iskry litości dla próżniaków, nie masz cieniu spółczucia dla naszych sentymentalistów europejskich, nie widać ani jednej romantycznej, gockiej ruiny, chociażby jak w niejednym ogrodzie u nas, naumyślnie stawianej, a gdzie wszystkie miasta i domy jasne, białe, wesołe, wszystko widne i jawne, a więc też ani tyle nawet tajemnic i brudów, ileby na jeden tylko tom naszych »Mysteriów« stało. O biednaż, jałowa, bezsymboliczna, bezliczbowa Ameryko! gdzie panowie kapeluszów w towarzystwie nie zdejmują, a proste dziewczęta, wyrobniczki fabryczne, po całodziennej pracy, wieczorem »na herbatę« się zapraszają i fortepianem, śpiewem, lekturą bawić się zwykły, a w jedwabiach chodzą, jak panie. Nie żartuję. Czytajcie państwo dla przekonania ciekawą podróż pana Dickensy po Ameryce. Bo teżto kraj szczególny! Podczas gdy my w Europie za ideje walczymy, cierpimy i umieramy, oni tam wszyscy żyją, i to dość wesoło, dla ciała, dla społeczeństwa, dla ludzi. O pustelniach i pustelnikach, dobrowolnych i poniewolnych, ani słychać. Ofiar, poświęcenia, wcale

nie znają. Biczowanie siebie samego lub drugich, wszelkie mortyfikacie, zagradzanie sobie lub komuś drogi do najswobodniejszego używania życia i świata, jest u nich tak niepojęte, jak np. u nas wstrzymywanie chłopów przez pana od upijania się w karczmie, jak tyrańskie zmuszanie ich do wstrzemięźliwości od wódki, która im tak niezbędnie jest potrzebną; zwłaszcza że mięso nie dla chłopa stworzone. Zatoż tam u nich gorliwość o wspieranie wszelkich wychowawczych, ochronnych, zabezpieczających zakładów, słowem o wszelką wzajemną pomoc, da się tylko z naszą gorliwością o publiczną edukacię koni i wołów porównać. Jak zaś dalece w tym samolubnym, kupieckim kraju ludzie o ludzi dbają i troszczą się, i troskliwiej niż matka o własne dziecię się pieczołują; jakiemi oni sobie tam dobrodziejami i aniołami opatrzności są wzajemnie, czem w ogólności człowiek dla człowieka być może? nauczy nas następna historyjka o Laurze i doktorze Howe, wyjęta z wspomnionej podróży Dickensa po Ameryce w r. 1841.

»..... Wyszliśmy zwiedzić Bostoński zakład ochrony dla ciemnych. Na dworze było niezwykle mroźno a górą zimowe niebo jaśniało jak gdyby włoskim blaskiem. Zakład ten, jak wszystkie podobne zakłady dobroczynne w Ameryce, stoi o ćwierć albo pół mili za miastem, w otwartem zdrowem miejscu, i jest przestronnie, ładnie zabudowany. Widać ztamtąd daleko na miasto i na morze, a przypatrując się temu rozwartemu przedemną, żywemu, promiennemu krajobrazowi, tym połyskującym w słońcu falom, tej świecącej się bieli domów w pobliżu portu, temu tam w oddali, jak czarna kropka na lśniącym widokręgu żeglującemu okrętowi, i obaczywszy w tej chwili przed sobą małego, ciemnego chłopca który także przypadkiem twarzą ku owej stronie morza się zwrócił, jakoby i on także tym spaniałym blaskiem natury zachwycać się był w stanie: żal mi się zrobiło że tak jasno na świecie, i dziwneto zapewne było życzenie, ale chciałbym był wtedy, aby z miłości dla tego biednego chłopczyny, chociaż trochę tej jasności przymierzchło. Byłoto, powtarzam, dziwactwo, lecz ztemwszystkiem głęboko i serdecznie je uczułem....

»Reszta dzieci była przy swojej zwykłej, dziennej robocie, w kilku dużych pokojach, prócz niektórych, co już pokończyły robotę i bawiły się na dziedzińcu. Nie ma tu żadnego przypisanego stroju dla dzieci, co mi się bardzo podobało, a to z dwóch przyczyn; najprzód, ponieważ nie może być nic brzydszego i nudniejszego jak ta niewolnicza jednostajość liberyjna, w której my w Europie tak się kochamy; powtóre, ponieważ dowolny ubior każdego dziecięcia przedstawia nam je każdy w jego właściwej, indywidualnej barwie, bez nadwerężenia jego osobistości i ujarzmienia jej w nieznośną konieczność tegoż samego, kroju i koloru mundurowego...

»Wtem dał się słyszeć dzwónek, a wszystkie dzieci pobiegły znaną sobie drogą do dużej sali muzycznej, i pousiadały w umyślnie dla nich urządzonej orkiestrze, gdzie jakiś słuszniejszy, może dziewiętnastoletni niemy chłopiec na organkach przygrywał. Po nim grała młodsza nieco dziewczyna, a wkońcu, wraz z jej towarzyszeniem, zaśpiewali wszyscy chórem pieśń pobożną, a potem inną, wesołą....

Dziwna jest przypatrywać się obliczu ciemnych, i uważać jak wszystkie ich myśli jawnie na twarzy się malują; co widząc wstyd nas zbierać powinien, iż nasze lica tak martwemi a często wcale zwodnemi są maskami. Gdyby też nasze balowe, dworskie, salonowe towarzystwa tylko na jedną chwilę mogły tak szczerze o cudzych, patrzących na siebie oczach zapomnieć, jak te ciemne dzieci i słuszne osoby o tem nie wiedzą, coż za osobliwsze tajemnice wyszłyby wtedy na jaw, i co za potężną podnietą do fałszu i hipokryzii okazałby się nam ten zmysł wzroku, którego stratę tak wielce opłakujemy.

Te myśli nasunęły mi się gdy przeszedłszy do innego pokoju usiadłem naprzeciw biednej ciemnej, głuchej, niemej dziewczyny, pozbawionej nawet powonienia i smaku, naprzeciw młodej, pięknej istoty, obdarzonej wszelką ludzką wyobraźnią, nadzieją, tęsknotą, a nie mającej do urzeczywistnienia i wyrażenia tego wewnętrznego światu uczuć i rojeń, nic, prócz jedynego zmysłu dotykania. Patrząc na nią zdało mi się, żem widział przed sobą nieszczęśliwą istotę ludzką, omurowaną wokoło grubym kamiennym murem, nie przystępnym żadnemu promieniu światła, żadnemu dźwiękowi głosu, jedynie w wąziuchno rozpękniętej szczelinie, przez którą wyciągnięta była mała biała ręka tego wewnątrz zakutego stworzenia, błagająca o pomoc, o wydobycie go z tej grobowej niewoli, o przebudzenie z tej ciemnej głuchej śmierci.

I nim się jeszcze dobrze jej przypatrzyłem, już ta pomoc nadeszła. Lica dziewczyny zajaśniały naraz błyskotnym promieniem pojętności. Piękne i szlachetne rysy twarzy a mianowicie szerokie, otwarte czoło znamionowały niezwykłe rozwinięcie się umysłowe. Włosy miała starannie zaczesane, a cały jej ubiór, równie jak włosy, przez nią samą przyrządzony, mógł być wzorem czystości i ujmującej prostoty. Tuż koło niej leżała jakaś ręczna robota kobieca; pod jej ręką, na stole, o który była oparta, znajdował się mały poszycik, gdzie właśnie przed chwilą coś pi-

sała... Z tak okropnego stanu zamarcia i wiecznej głuchej, niemej, grobowej ciemnoty rozwinęła ona się zwolna, dzięki anielskiej troskliwości swego lekarza i przyjaciela, w tę uprzejmą, wykształconą, wdzięczną względem boga i ludzi istotę, jaką teraz przed sobą ją widziałem.

Dokończenie nastąpi.

FERDINANDO EBOLI.

POWIEŚĆ.

Dokończenie.

Po walce pełnej udręczeń, ożywiła nadzieja i moc serce Ferdynanda. Zamyślił do Neapolu powrócić, swoje wypadki Markizowi Spina opowiedzieć, i za jego wpływem bezstronne śledztwo w tej sprawie wyrobić. Uskutecznienie tego zamiaru w teraźniejszym stanie nie małem było zadaniem. Nie miał ani grosza, a jego ubior zdradzał największe ubóstwo. Bez przyjacioł i krewnych, gdyż każdy w nim widział prostego włóczęgę. Przy tem wszystkiem nie tracił nadziei. Zyźna ziemia włoska dawała mu w nadeszłej już jesieni, kasztany, jabłka dzikie i winogrona. Szedł przez góry, jako najbliższą drogą, obchodził miasta i stronił od każdego zamieszkałego miejsca. Podróżował najwięcej w nocy, jeżeli się zpoza miast policyjni urzędnicy z swych stanowisk pooddalali. Jakto mu się udało, Włochy tak szczęśliwie przejść, trudno do pojęcia, jednak nie podpada to żadnej wątpliwości, gdyż już po kilku tygodniach znajdował się w Wili Spina. W przedstawieniu się Markizowi miał wiele trudności do zwalczenia. Przyjął go stojąc z wzrokiem bardzo badawczym, któren znowu szlachetnego młodzieńca niepoznawał. Widząc gości na odwiedzinach, prosił o tajemną rozmowę. Głos zdziwił Markiza, dla tego jego życzenie uskutecznił i wyszedł z nim do innego pokoju. Tu odkrył mu się Ferdinando i opowiedział w wzruszonej i namiętnej mowie nieszczęśliwe swoje wypadki, w tem usłyszano tentent koni, dzwonek zabrzmiał, a służący oznajmił przybycie hrabiego Ferdinanda Eboli. To ten sam, zawołał młodzieniec bledniejąc. Osoba pomieniona weszła. Był podobny ze wszystkiem do młodego hrabiego, którego imię nosił. Tak wyglądał Ferdinand odjeżdżając z Willi do półku. Skłonił się z wielką ukladnością przed Markizem, rzucił na Ferdinanda wzrok, w którym więcej nienawiści niż zadziwienia było, i mówił: Ty tu? Ferdinando odzyskał całą swą spokojność umysłu. Pomimo trudów, które wycierpiał, złego pokarmu, i ubogiego odzienia, była w jego istocie jakaś właściwa godność. Markiz spojrzał mocno na niego, duma jego ułożenia nie uszła jego baczności i widział w rysach pełnych wyrazu prawdziwego Ebolę. Lecz mocno się zdziwił, obróciwszy się gdy i w nowo przybyłym, któren końca tego śledztwa z niecierpliwością oczekiwać zdawał się, tę samą twarz, jak gdyby odbicie zwierciadła spotkał. Ostatni wyjaśnił Markizowi krótko, lecz pełnemi szyderstwa słowy, iż to już jest druga próba, którą ten oszust zrobił, aby ujść za hrabiego Ebolę, lecz że mu się ten zamiar raz już nie udał, i tu także równy los go czeka. Z uśmiechem dodał, iż boleśna to rzecz, gdy aż do tego przychodzi, że on udowadniać musi prawdziwość swojej osoby przeciw jakiemuś włóczędze, któren oprócz podobieństwa z nim, nic jak tylko nieograniczoną bezwstydność za dowód złożyć może.

To prawda, mój przyjacielu, mówił dalej z szyderstwem, wielce mię to boli, gdy myślę że człowiek, któren największe ma podobieństwo do mnie, tak złą rolę grać musi. Przy tak gorzkiem oszczerstwie krew wystąpiła Ferdinandowi na policzki; kosztowało go wiele zaprzenia się, iż nie uderzył swego rywala, a słowa: nikczemny oszuście wyśliznęły mu się z ust. Baron nakazał zapalonemu młodzieńcowi milczenie, a wzruszony jednem wejrzeniem, które mu przypomnienie prawdziwego Ferdinanda przedstawiać zdawało się, mówił: Na szacunek któren masz ku mnie, zaklinam cię, abyś był spokojnym. Nie troszcz się będę bezstronnym.

Odwrócił się potem do mniemanego Eboli, napomknął, iż nie ma przyczyny o jego prawdziwości powątpiewać, i prosił go mieć wzgląd, na jego teraźniejsze wtrącenie się. Pretendent, zdawał się zpoczątku trochę zmartwionym, lecz wnet rozśmiał się głośno, starał się swoje własne oburzenie uniewinnić, i śmiał się w duchu z zmięszania Markiza.

Nie można przeczyć, że mu ten wesoły sposób, którym stronę swoją popierał, nadał więcej wagi, jak błysk niechęci biednego Ferdinanda. Mniemany hrabia oświadczył, że po groźbach xięcia tego zejścia się nie spodziewał. Wziął pozwolenie oddalenia się, którego po kilkodniowem zabawieniu się w swoim pałacu w Neapolu, także na odwiedziny swego przyszłego teścia chciał użyć. Był ciekaw o czynach i zamiarach swojego rywala się dowiedzieć lecz po ostatnich słowach tegoż skończyła się jego cierpliwość. Co, zawołał Ferdinand, tyś także miejsce moje w moim ojcowskim domu nieprawnie zajął, mógłżeś się odważyć w mieszkaniu moich przodków, moje prawa sobie przywłaszczyć.

Łzy płynęły po licach młodzieńca, zakrył twarz rękami. Zapał i duma przebijała się w twarzy pretendenta. On mówił: Przysięgam na wiecznego Boga i na święty krzyż, iż ów pałać, jest pałacem mojego ojca, te mieszkania, są mieszkania moich przodków. Ferdinando patrzał na niego z zadziwieniem; potem wykrzyknął: I ziemia nie rozpadnie się aby tego krzywoprzysięgającego oszusta pochłonęła?...

Na żądanie Markiza opowiedział potem swoje nieszczęśliwe wypadki. Z rysów rywala, wyciskało się najochydniejsze wydrwiwanie. Markiz, któren obu uważał, nie mógł swoje niedowierzanie ukryć. Jego wzrok pilnował raz jednego to znowu drugiego. Było coś w dzikiej i nieporządnej powierzchowności biednego Ferdinanda, co niedozwalało o oszukaństwo go posądzać; ale także na drugiej stronie nie można było tak układnego i szlachetnie wyglądającego młodzieńca, którenby tylko dla tego, że opowiadaniu jego antagonisty nie uwierzą, za prawdziwego hrabiego ujść mógł, o żadne umyślne oszukańsiwo posądzać. Markiz zadzwonił na służącego i rozkazał, córkę przywołać; rozstrzygnienie tej sprawy, mówił on, musi się oddać pod łagodny sąd kobiety. Tylko bystry wzrok miłości może tu rozsądzić.

Obaj młodzi uśmiechnęli się. Jeden i ten sam był uśmiech, a w tym uśmiechu jeden i ten sam wyraz; wyraz tryumfującego przeczucia. Pomieszanie barona coraz bardziej wzmagało się.

Adelinda słyszała o przybyciu hrabiego, i jaśniejąc cnotą i uszczęśliwieniem weszla. Obróciła się ku temu, któren najpodobniej do zdawna upragnionego wyglądał, gdy dobrze znany głos po imieniu ją zawołał, a ona teraz zmięszana podwójny obraz kochanka przed sobą ujrzała. Markiz pochwycił jej rękę rozwinął jej w krótkości tajemniczy wypadek, i prosił ją, aby się o osobie swego kochanka zapewniła.

Signora, mówił Ferdinando, nie pogardzaj mną, bo suknia w której przed tobą występuję, niełaskę i nieszczęście zwiastuje. Twoja pani miłość, twoja łaska przyprowadzi mię znowu do majątku i szczęścia.

Nie wiem dla czego, odpowiedziała, zdziwiona dziewica, lecz pewnie pan jesteś hrabią Eboli. Adelindo, rzekł młody rywal, nie mów do tego nikczemnika. Droga, zawiedziona dziewico, nie bez zmięszania mogę twierdzić, że tylko jedno słowo wyrzeknę aby cię przekonać, że jestem Eboli.

Adelindo, zawołał Ferdinando, włożyłem ci pierścień na palec, przed bogiem przysięgłaś mi wierność. Mniemany hrabia zbliżył się do dziewicy, zgiął kolano, i wyjął lok, który zieloną wstążeczką był związany. Adelinda poznała, wstążkę, którą niedawno nosiła u ręki, i którą lekkie skaleczenie na jego lewej ręce owiązała. Zarumieniona obróciła się do ojca, a wskazując na młodzieńca przed nią klęczącego, mówiła zmięszana: Ten jest Ferdinando.

Wszelkie zaprzeczanie że strony nieszczęśliwego hrabiego były daremne. Markiz chciał go do więzienia wtrącić, lecz na usilne wstawienie się rywala puszczono go na wolność poprzestając na wzbronieniu niepoznanemu dalszego pobytu w Willi.

Burza niechęci, która się w sercu Ferdinanda obudziła, przewyższała wściekłość, nie dawno zkrępowanego zwierza dzikiego. Fizyczne cierpienia, które z mozoły i z niedostatku powstały, pomnażały wewnętrzne cierpienia duszy. Przez kilka godzin był w obłąkaniu, jeżeli stan, w którym wiemy o nieszczęściu naszem, obłąkaniem nazwać można. Jedna myśl brała w tym przechodzie uczuć zawsze górę, byłato myśl, wziąść ojcowski dom w posiadanie, i przez odmianę swojej powierzchowności, starać się pozyskać postradane stosunki, swoje pierwszeństwo nad przeciwnikiem. Natężał wszystkie siły, aby zdążyć do Neapolu, wszedł do ojcowskiego pałacu i był od dworskiej służby, którą jego ukazanie się nie mało zdziwiło, z uszanowaniem przyjęty, i za pana uznany.

Nie miał nic pilniejszego do czynienia, jak zabespieczyć sobie posiadanie obrazu ojca w miniaturze, który w jednym gabinecie wisiał i był kosztownemi kamieniami ozdobiony. Z zapałem wołał do ducha ojca o pomoc w tym nieszczęśliwym labiryncie. Użył niektórych pokrzepień, i pozyskał część straconych sił znowu; z dziecinnem prawie ukontentowaniem, oczekiwał nocy, którą spokojnie pod strzechą swego rodzicielskiego domu miał przepędzić. Lecz i to tak małe życzenie nie miało się spełnić. Przed północą zabrzmiał duży dzwon pałacu, a jego rywal wstąpił jako pan rozkazujący, w towarzystwie Markiza. Skutek tego ukazania się można łatwo sobie wystawić; Markiz był nieubłagańszy, niż mniemany Eboli; żądał uwięzienia młodzieńca, a obraz przy nim znaleziony, z powodu kosztownej oprawy, o kradzież go obwiniał. Wtrącono go do więzienia. Opuszczę wydarzone poźniej sceny, do których skreślenia potrzebowałbym kolorów Hellenbreughelskich, i tylko namienię, że był przed straszny sąd stawiony, uznany winnym i skazany na galery na całe życie.

Pominę niektóre dalsze wypadki, bowiem w szczegóły zapuszczająca się powieść mogłaby w tomy zróść. Twierdzenie oszukańcy, że już z Adelindą połączony, było, tak jak wiele innych zmyślonem. Był wprawdzie dzień do związku naznaczony, lecz dla słabości i nadeszłej śmierci Markiza, musiał się odroczyć.

Adelinda wyjechała w pierwszych miesiącach żałoby, do zamku swego ojca, leżącego niedaleko miasta Aripino w królestwie neapolitańskiem a oddalonego około pięćdziesięciu mil od stolicy. Przed wyjazdem, starał się oszukańca wszelkiemi sposobami, aby ją skłonić do tajnego połączenia. Myśl, że przed zapewnieniem się jej posiadania, w tak długim czasie, mogłaby się o jego oszukaństwie dowiedzieć, występowała przed jego wyobraźnią w straszliwej postaci. Oprócz tego, rozszerzyła się pogłoska, że jeden z współuwięzionych Ferdinanda, okrzyczany bandyta, umknął, i że mu młody hrabia w jego ucieczce towarzyszył. Adelinda opierała się zamysłom mniemanego kochanka, i udała się z starą ciotką, która w prawdzie ślepa i głucha, ale przytem wszystkiem, chwalebne cnoty dueny posiadała, w swoje ustronie.

Fałszywy Eboli odwidzał swoją narzeczonę wprawdzie rzadko, był on jednakże mistrzem w swej sztuce, a następujące wypadki za nadto dobrze wyświeciły, że się zawsze przebrany w pobliżu zamku znajdywać musiał. Nie zaniedbał on żadnych środków, aby służących Adelindy dla siebie pozyskać, tak iż ta nie wiedząc o niczem w swym własnym domu jak uwięziona zostawała. Nie umiem powiedzieć jakim sposobem pierwsze podejrzenie o oszukaństwie w jej duszy się obudziło, gdyż miała, jako rodowita Włoszka naturę swoich krajowców, który się przy codziennem życiu w nazwyczajonej opieszałości i ospałości pro wadzić dają; zaś obudzone z tej ospałości, z siłą i namiętnością działają. W chwili, w której powątpiewanie w jej duszy powstało, chciała już także zapewnić się o niem. Niektóre zapytania, które się tyczyły bliższych stosunków jej z biednym Ferdinandem, były dostateczne. Te zapytania były tak nieprzewidziane, zawierały tak wiele wyrazu, iż pretendent kilka razy się zająknął. Jego wzrok błądził, zmięszany wyjąkiwał swoje odpowiedzi; wzrok ich spotykał się, a on uczuł swoje zamysły odkryte, co go mieszało; ją zaś utwierdzało w jej podejrzeniu zbliżającem się do pewności. Wzrok, oszustom tylko właściwy, i niepewny wyraz twarzy przez bojaźń straconego tryumfu, były rękojmią odkrytej prawdy dla Adelindy. Jakto mogło być mówiła do siebie, że ja go, za mego potulnego Eboli zamieniać mogła. Wzrok ich spotkał się jeszcze raz, a wyraz jego, zastraszył jej oko, i niemogąc stłumić wewnętrzne wzruszenie, opuściła spiesznie pokój. Czuła, że było niepotrzebnem ciotkę w swój interes wciągać, i odważyła się zaraz do Neapolu pojechać; chciała się wicekrólowi lub xięciu Bourbon do nóg rzucić, tajemnicę powierzyć, aby tym sposobem wiarę pozyskać; lecz czas, w którym ten zamysł mógł był się ziścić, już minął. Oszust swój zamiar doprowadził do skutku, ona sama była jego więzniem. Przewaga nieszczęścia dodała jej odwagi. Poszukała swego ciemiężcy. Przed kilką chwilami była młodą lekkomyślną dziewczyną, potulną jak dziecię bez trosków; teraz wydało jej się jak gdyby w mądrości posiwiała, i potrzeba było tylko kilka chwilek, aby ją w długoletnie doświadczenia wzbogaciły. W zejściu się z oszukańcą okazała się ostrożną i odważną. Moc niewinności, która z ufnością w przyszłość spoglada, i bez bojaźni przed złoczyńcą staje, nadała jej duszy jakąś osobliwszą wzniosłość. Twórca jej nieszczęścia giął się pod jej wzrokiem; zpoczątku całkiem nie chciał zeznać, że on jest nie tym, za którego się wydawał, lecz nareszcie musiały nikczemne jego zabiegi sile i wymowie prawdy ustąpić. Był podobny do jelenia obskoczonego i w kąt wpędzonego. Dotychczas przewyższające siły mężczyzny panowanie jego utrzymywały; teraz przyszła kolej na nią widzieć go bez siły i w bojaźni stojącego przed sobą. Zeznał, że był starszym bratem Ferdinanda, prawy syn starego hrabiego Eboli; jego matka od tegoż uwiedziona, nie przebaczyła nigdy zwodzicielowi. Jej syn narodził się z nienawiścią ku ojcu. Myśl, że majątek, jego szczęśliwego brata jemu przynależy, stała się oszukańcy artykułem wiary. Chociaż jego wychowanie, było bardzo zaniedbane, były mu jednak jako Włochowi, chytrość, zaprzenie się, i potulność w tym podrzędnym stosunku właściwemi. Zadrzałabyś, mówił on, do Adelindy, gdybym ci opisał, jak wiele cierpiałem, nim mój zamiar do skutku przyprowadziłem; nie miałem ani jednej duszy, którąbym w moją tajemnicę mógł wciągnąć; zamysł i uskutecznienie są moją własnością. Byłoto dla mnie szczególne uczucie tryumfu, gdy ja i mój brat, któren moje prawa miał w swojej ręce, przed xięciem staliśmy, ja szlachetny on zniewazony; na to uczucie zasłużyłem przez moją wytrwałość, przez moją siłę. Gdy swoją powieść szybko skończył, łożył wszystko, aby względy Adelindy pozyskać; lecz ona z niechęcią odwróciła wzrok od niego. Co tylko namiętność i pieszczotliwość zdziałać mogły, wszystkiego użył aby jej serce wzruszyć. Niebyłżeto on przedmiotem jej miłości? Nie byłżeto on, któren na balkon Willi Spina wdarł się. Przypominał jej chwilę odżycia ich wzajemnej miłości. Na takie dowody rzadko która czująca kobieta obojętną byłaby. Adeliny policzki pokrył rumieniec miłego wstydu, którego ślad wkrótce obawa tego oszusta zatarła. Przysiągł jej święci i wiernie że zaraz po ich zamęźciu starać się będzie o uwolnienie

Ferdinanda, i wyznaczy mu porządne utrzymanie, że mu nawet jeżeli się na to zgodzi połowę swych posiadłości odstąpi. Odpowiedziała mu na to zimno, że woli chętniej więzy i biedę z nieszczęśliwym dzielić, a niżeli się połączyć z oszukaństwem i zbrodnią. Żądała wolności; lecz nieposkromiony i prawdziwie dziki charakter, któren oszust na drodze występku okazywał, kazał mu wystąpić odważnie i upewnić ją najuroczyściej że ten zamek tylko jako jego żona opuścić będzie mogła. Jego wzrok, w którym się wiadomość gwałtu i niepowściągniętej złości odbijała, przestraszył ją. Z jej oczu jaśniała zniewaga i wstręt, byłaby prędzej śmierć wybrała, niż męża, któren jej co chwila swoją siłę, opartą na nieodpornem ranieniu kobiety, uczuć dawał. Oddaliła się z tem uczuciem, jak gdyby się od napiętego sztyletu skrytobójcy obroniła.

Po jednogodzinnem przemyśliwaniu, znalazła środek, z tego okropnego położenia ujść. W jednej garderobie leżały suknie pazia jej matki, któren nagle był umarł, i którego jeszcze nieużywana puścizna, swoją pierwszą świetność zatrzymała. Przebrała się w te suknie, podwiązała swój ciemny włos, i przypasała nie bez gorzkiego czucia, lekką szpadę, do tego kostiumu należącą. Gdy już dawno po Anioł pański, dwudziesta czwarta godzina minęła, i już przed pół godziną słońce było na zachodzie, wysunęła się jednego wieczora listopadowego, cichym stąpaniem z swych komnat, skrytym kurytarzem do kaplicy zamkowej, od której klucz miała u siebie, otworzyła ją, zamknęła znowu za sobą i znajdowała się na polu. Przed nią leżały pagórki bezdrożne, nad nią gwiazdami okryte niebo, a chłodny jesienny wiatr szumiał około murów zamku. Bojaźń przed nieprzyjacielem, stłumiła wszelką inną obawę, a tak biegła ona, która przedtem w swojem życiu nie więcej nad jednę milę, a najwięcej dwie pieszo zrobiła, w zapale, kilka godzin, po kamienistej, gorzystej drodze; aż jej nogi pęcherzami okryły się i wszelka nadzieja znalezienia drogi ubitej znikła. Nad rankiem znajdowała się pomiędzy Apeninami, w dzikiej czerwonemi dębami zarosłej leśnej okolicy. Ani śladu mieszkańców ani znaku istoty ludzkiej. Adelinda była znużona i głodna. Miała wprawdzie złoto i klejnoty ze sobą, lecz tu nie było żadnej sposobności, je za pokarm i napój zamieniać. Przypomniała sobie teraz powieści o bandytach; lecz któżby mógł wyrównać temu w zbrodni i nieczułości, przed którym uciekała. Ta myśl, mały wypoczynek, łyk wody z źródła czerpanej pokrzepiły po części jej siły, a tak podróżowała dalej. Południe nadeszło. W południowych Włoszech, sprawuje słońce południowe także w listopadzie przy pogodnem niebie duszące gorąco, osobliwie dla włoskich dam, które jego promieni troskliwie unikają. Od strony góry, koło której Adelinda spieszyła, ukazały się niektóre jagody, i jaskinie laurowemi i dzikiemi jabłkami zarośnięte; jedną z tych obrała za miejsce wypoczynku. Była bardzo głęboka, i prowadziła do drugiej, która była dosyć obszerną i z góry oświeconą. Tu stało na prostym stole jadło, winogrona i flasza z winem. Adelinda obejrzała się troskliwie, lecz niewidziała nikogo; siadła przy stole, i zjadła z bojaźnią nieco z leżących przednią owoców; po skończonem zasileniu oparła głowę o śnieżną rękę. Czoło ocieniały ciemne włosy w lokach po szyi spadające. Jej powierzchowność zdradzała zmordowaną i bezsilną, a z jej czarnych ócz padały łzy, nieme świadki jej losu, przynoszące mimowolnie ulgę jej sercu. Adelindy nieco fantastyczne, jednakże zgrabne ubranie, jej kobieca postać, jej piękność i lubość, które siedzącą w zamyśleniu w tej dzikiej i nieprzyjaźnej jaskini otaczały, przedstawiały obraz, któremu poeci swoje najczulsze pienia, a malarze z zapałem najwydatniejsze farby daliby.

Była podobną do istoty z drugiego świata, do Ganimeda, któren niską usługę porzuciwszy, do szlachetniejszej w swojej pięknej ojczyzie uciekał.

Gdym moją straconą Adelindę w tem dziwnem przebraniu w jaskini ujrzał, miałem trudność ją poznać, tak mówił młody hrabia Eboli, gdy swoje przypadki opowiadał, których początek i koniec jednakowo dziwacznemi były. Ferdinando, jako niewolnik galerowy, gdy do Kalabrii przybył, był z pewnym bandytą razem zkuty. Obaj powzięli zamysł ucieczki, i uskutecznili go szczęśliwie, a bandyta zatrzymał go w dzikich górach Kalabrii.

Jaskinia w której Adelinda schronienia szukała, była jedną z miejsc mocnych, do których się zbójcy w czasie wielkiego niebespieczeństwa kryją, gdyż o robieniu zdobyczy w tych nieludzkich miejscach myśleć nie można było. Tu znaleźli jednego popołudnia powracając z polowania, podróżującą, bojaźliwą, osieroconą, uciekającą Adelindę. Nigdy nie była morska latarnia, majtkom od burzy miotanym pożądliwszem zjawieniem, jak kochającej dziewicy jej wierny Ferdinando.

Szczęście zmordowane nakoniec prześladowaniem młodego hrabiego, pokazało mu swoję przyjazne oblicze. Dowódzca bandy litował się nad wypadkami kochanków. Ferdinando namówił Adelindę jedną noc w jaskini przepędzić. Następującego ranku wybierali się w podróż do Neapolu, i w chwili wyjazdu, nie-

spodziewanemi odwidzinami byli zatrzymani. Zbójcy przyprowadzili pojmańca, a tym był pretendent. Jak tylko Adelindę, którą jako zakład swojego bespieczeństwa i pomyślności uważał, zrana nie znalazł, wysłał zaraz, gdy podług jego spodziewania, nie mogła być bardzo oddaloną po wszystkich stronach posłańców, i wybrał się sam na pogoń za nią. Wyszedł tą samą drogą co ona, i wpadł tym sposobem rabusiom w ręce, którzy sądząc po jego powierzchowności, wysoki stopień i majątek posiadającego, zdradzającej, dobrego wykupu się spodziewali, lecz dowiedziawszy się o jego bliższych stosunkach, wydali go w ręce brata.

Ferdinando i Adelinda poszli do Neapolu; tam przybywszy, kazała się Adelinda przedstawić wicekrólowej, przez którą xiąże Bourbon z zadziwieniem o oszukaństwie się dowiedział. Młody hrabia, odzyskał swój stopień i posiadłości, i połączył się w kilka miesięcy z narzeczoną. Hrabia i hrabina Eboli zanadto byli spaniałomyślni i czuli, iżby Ludwika, tak się nazywał pretendent, całkiem zaniedbać mogli. Jego dalszy los jednakże był nie bardzo szczęśliwy.

Za wstawieniem się brata, dał mu wice-król stopień w wojsku. Wkrótce się odznaczył, i został kapitanem. Hrabia Eboli dostał po śmierci hrabiego Mendoza piękny półk arragoński. Jedna część wojsk włoskich, wysłaną była do Holandii, gdyż nieporozumienie między Hiszpanią i Anglią, które podczas uwięzienia Franciszka I. dosyć wysoko doszło, wymagało takowego zarządu. W Antwetpii posprzeczał się hrabia Eboli z Don Juanem de Malec szlachetnym Hiszpanem, któren pułkiem dragonów Almanza dowodził; Hiszpan wyzwał go na pojedynek. Ludwik, któren o tej niebespiecznej kłótni się dowiedział, ukazał się na miejscu pojedynku, zatrzymawszy przedtem brata swego tym sposobem w Antwerpii, że imieniem Don Juana de Malec odłożenia pojedynku zażądał. Podobieństwo obu braci, omamiło Hiszpana. Walka była zaciętą, Hiszpan raniony, i krwią zbroczony uderzył na Ludwika i przeciął mu pierś lewą na skróś. Hrabia Eboli, dowiedziawszy się o nieszczęsnym wypadku, udał się zaraz na miejsce, lecz Ludwik był już bliskim śmierci. Eboli padł z boleśnem uczuciem w łóżko nieszczęśliwego swego brata; on spojrzał na niego z przyjaznym uśmiechem, mówił cicho i drżącym głosem: »Daruj mi wszystko cokolwiek boleśnego moje podobieństwo ci wyrządziło, i bądź zaspokojony tą małą usługą uczynioną w celu przebłagania mojej winy. Żyj szczęśliwie z Adelindą!« Te były jego ostatnie słowa.

Przeproszony podał Don Juan de Malec hrabiemu Eboli rękę; i uronił najczulszego wzruszenia łzę na grobie poległego.

Nowości literackie.

Pierwotne dzieje Polski i Litwy zewnętrzne i wewnętrzne, z uwagą na ościenne kraje a mianowicie na Ruś, Węgry, Czechy i Niemcy, wyłożył i z dorobioną do nich chronologiczną mapą wydał Wacław Alexander Maciejowski. 8ka Warszawa 1846. (Nakład autora). Druk komissii rządowej sprawiedliwości. Napisów kart 2 str. IV i [illegible] Cena złp. 21.

Druk tomu IV i ostatniego Historii literatury polskiej w zarysach wkrótce się ukończy. Zawiera on okres literatury od 1825 do 1845 roku.

J. I. Kraszewski pracuje obecnie nad *Dziejami Litwy*, bogate materiały zgromadził do swego dzieła.

Druk dzieła M. Balińskiego p. n. Pielgrzymka do Częstochowy już jest na ukończeniu. Wyjdzie nakładem G. Senewalda ozdobione rycinami.

Pamiętników do panowania Zygmunta III, Władysława IV i Jana Kazimierza, wydanych z rękopismu p. K. Wł. Wojcickiego, wyszedł tom I nakładem S. Orgelbranda.

Zamierzone jest wydanie drugie Gospodarstwa M. Oczapowskiego: pierwsza bowiem edycia już jest wyczerpana.

X. Michał Bobrowski profesor fakultetu teologicznego w b. uniwersytecie wileńskim, a poźniej w akademii duchownej w Wilnie, zbiera materiały do historii drukarń słowiańskich niegdyś istniejących w Litwie i ma ważne tej treści notaty.

Zebrane przez Michała Grabowskiego razem z Konstantym Swidzińskim i baronem Szoduar ciekawe rękopisma o wojnach kozackich z czasów Chmielnickiego, powierzone zostały do ogłoszenia drukiem, kijowskiemu oddzielnemu archeograficznemu komitetowi, który prócz wydania tej publikacii wraz z tłumaczeniem rosyjskiem przyrzekł samego textu polskiego kilkaset exemplarzy dla tych osób odbić.

Redaktor TOMASZ KULCZYCKI. DRUKIEM PIOTRA PILLERA.